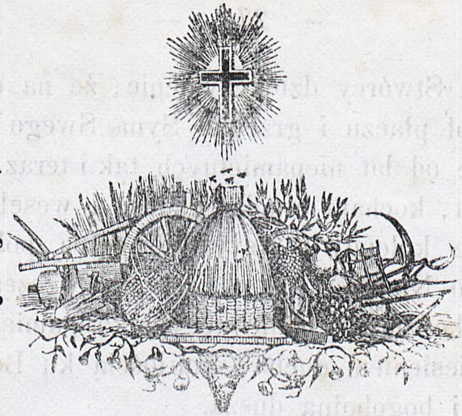
Tom XIII. Nr. 18.

21. grudnia 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niech będzie pochwalony Jezus Narodzony!

Zbliża się, kochani bracia, dzień radośny dla nas i dla całego świata chrześcijańskiego — dzień Narodzenia Chrystusa. Wielkie to święto, które w dniu tym obchodzimy, bo jest ono pamiątką owego czasu, kiedy to Bóg Najmiłosierniejszy, widząc ludzkość pogrążoną w grzechach i niedoli, zesłał Syna Swego Jedynego na ziemię!

I oto rodzi się święta dziecina w małem miasteczku, w nędznej szopce, wśród ubogich ludzi. Przybycie Zbawiciela na ziemię zwiastuje Anioł najpierw ubożuchnym pastuszkom, a ci bieżą co prędzej do stajenki i witają nowonarodzone dziecię, zbawienie świata całego!

I wraz z narodzeniem Najświętszego dziecięcia zbliża się ratunek świata, który pogrążony był w pogaństwie, w grzechach i ciemnocie — a tym ratunkiem była nasza wiara święta, zesłana z Nieba, a opowiadana i nauczana przez Syna Bożego.

Dwa tysiące lat już prawie mija od tego czasu, a świat chrześcijański co roku obchodzi wesołą pamiątkę tego zmiłowania Bożego, raduje się w dzień święta Pańskiego Narodzenia

zasełając swemu Stwórcy dziękczynienie, że na odkupienie zesłał na ten padoł płaczu i grzechu Syna Swego!

Jak zawsze od lat niepamiętnych tak i teraz znowu zawita do waszych chat, kochani bracia, radość i wesele. Odezwą się wszędzie wesołe kolendy i wszystkie serca pobożne wzniosą się do góry, do Niebios, zkąd zstąpiło szczęście dla rodu ludzkiego. Obchodźmyż godnie tę wielką pamiątkę z nabożną wesołością i wzniesieniem ducha, z miłością ku Bogu i ludziom, z czystą myślą i bogobojną duszą.

A najpierw niechaj każdy z was rozpamięta sobie dobrze, o ile jest posłusznym tej wierze świętej i tym naukom, które nam zostawił Zbawiciel, niechaj się każdy z was zastanowi nad tem, czyli korzystał z tego świętego skarbu, z religji chrześciańskiej, i czy żyje wedle jej wzniosłych przykazań. Niechaj rozmyśli nad sobą, czy też serce jego nie jest pogańskie, chociaż usta wiarę wyznawają, czy wykonuje zakon miłości, której dał nam przykład nasz Zbawiciel!

Niechaj każdy sobie przypomni, jaką naukę dał nam Chrystus swem życiem na ziemi, niechaj bogaty pamięta, że Najświętsza Dziecina przyszła na świat w nędznej stajence, że cały żywot Zbawiciela był ubogi, niechaj nędzarz i każdy kto żyje w niedoli i ubóstwie pomni, że ubóstwo to znosił także i Syn Boży, że ukochał prostaczków i ubogich ludzi, że ten, którego powitali na świecie najpierw pastuszkowie ubożuchni, ma w łasce swej najświętszej wszystkich tych, którzy znoszą niedolę na świecie.

Niechaj ta pamięć pocieszy strapionych, niech rozweseli serca ubogich, niech pobudzi do cnoty i miłosierdzia dla bliźnich wszystkich tych, co opatrzeni są w dobra ziemskie i dostatki.

O niechaj dla całej naszej ziemi polskiej nieszczęśliwej, która tyle razy krwią się skąpała, tyle razy łzami się oblała, która tyle już znosiła nieszczęść i niedoli, święto Narodzenia Pańskiego będzie radośnem zapewnieniem, że Bóg się ulituje nad nią, że jej zeszle dobrą dolę i szczęście!

Trzy wielkie święte cnoty przyszły na świat z Synem Bożym: wiara, nadzieja i miłość!

Wierzmy w prawdy Chrystusowe; wierzmy w obietnice które wypowiedziały usta Zbawiciela w nagrodę dla wszystkich, którzy Bożemi drogami postępują przez życie!

Miłujmyż Ojca Naszego, co z Niebios czuwa nad nami, miłujmy bliźnich naszych, otoczmy wszystkich ludzi tą serdeczną miłością, jakiej nam dał przykład Jezus, ukochajmy ojczyznę naszą, naród nasz cały polski!

Miejmy nadzieję w miłosierdzie Wszechmocnego, ufajmy jego łasce, spodziewajmy się całem sercem, że przyjdzie nam w pomoc w strapieniach naszych, że nie opuści ojczyzny naszej, która zawsze była stróżem wiary świętej.

Módlmy się do Dzieciątka Jezus, niechaj świat cały i nas Polaków ma w swej świętej opiece, niechaj pobłogosławi krainę polską i da jej szczęsną dolę!

KOLĘDA.

Anioł się pastuszkom zjawił w jasności
Spiewał: „Chwała Bogu na Wysokości!
Wszystkim ludziom w niedoli
Koniec dolegliwości,
I wszystkim dobrej woli
Spokój w nizkości!!“

Powiedział: „Znajdziecie w małem miasteczku
Dzieciątko w pieluszkach i na sianeczku!“
Pasterze pobieżeli
I znaleźli w żłobeczku,
Na ubogiej pościeli
Dzieciąteczko.

Oddali swe dary nie bardzo drogie,
Klęcząc, całowali mu święte nogi.
Dziękczynne słali pienia,
Że na te ziemskie progi,
Przyszło dla ich zbawienia
W szacie ubogiej.

*

Pan Jezus się zrodził w Betleem mieście,
Radośną nowinę pasterze roznieście!
Z podania anielskiego,
I z wielkiej gwiazdy wschodu,
Macie dowody jego
Bożego rodu!

Królowie przybyli z wschodniej krainy,
Wstąpili do miasta Jerozolimy,
Pytali zgromadzenia,
O pobycie rodziny,
O miejsce urodzenia
Bożej Dzieciny.

Za gwiazdą trafili do tej stajenki,
Gdzie była gospoda świętej panienki.
Złożyli dary drogie
Bożej Matce do ręki,
Które przyjął ubogi
Jezus maleńki.

Chcieli Herodowi zanieść nowinę,
Że w szopce znaleźli Bożą Dziecinę.
Lecz mieli objawienie
Minąć Jerozolimę
I wrócić potajemnie
Do swej krainy.

Herod kazał wojsku, by bez wyjątku
Zadawało śmierć każdemu chłopiątku.
Mordowano dzieciny,
Lecz Jezus przed katami
Do Egipskiej krainy.
Uszedł nocami.

Weselmy się wszyscy na tej nizkości.
Spiewajmy! Spiewajmy z wielkiej radości:
Przez Boże Narodzenie,
Chwała na Wysokości!
A nam wszystkim zbawienie
Z Bożej miłości!

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Święty Wieczór.

Historja prawdziwa.

Dobry kawał od wsi Mrawy, zaraz przy drodze, stała malutka, nędzna chałupinka. W chatce tej mieszkał Jakób Rogors, człowiek bardzo uczciwy, ale bardzo ubogi, bo jak to sami wiecie, bogactwo z poczciwością nie zawsze idą na świecie w parze. Jakób nie miał nic, jeno tę starą ubogą chałupinę, jednego starego konia i szmatkę ogrodu za nią; ale że pracował ciężko i rzetelnie, więc też jako tako zarabiał na kawałek gorżkiego chleba.

Mało miał, ale i za to Panu Bogu dziękował i nie skarzył się nigdy na swoją niedolę, ale żył w pracy i spokoju. W swojej żonie Małgorzacie wielką miał pomoc Jakób. Wyraźnie Bóg sam przeznaczył jedno dla drugiego, bo nie było w całej wsi małżeństwa, coby tak zgodnie żyło ze sobą i tak bogobojnie znosiło niedostatek.

Przy tem wszystkiem mieli Jakób i jego żona serce litościwe, a choć samym im nieraz brakło na kawałku chleba, to przecież dzielili się chętnie z ubogim, bo doznali sami nieraz, jak to przykro niedola człowieka trapi.

Posłuchajcież teraz, jak raz przytrafunek zdarzył się Jakóbom. Było to w samą Wilję Bożego Narodzenia. Wieczór już zapadł, zimno było okrutne, śnieg przesypał drogę, że i śladu ludzkiego widać nie było, a wiatr huczał i sypał kurzawicą na wszystkie strony.

W chatce Jakóba świeciło się światło, a na stole stała już uboga wieczerza. Jakób i jego żona westchnęli do Boga, do najświętszej Dzieciny, której narodzenia pamiątkę właśnie cały świat chrześcijański obchodził i zasiedli do swojej wieczerzy. Ledwie jednak wzięli do ust jadło, gdy naraz pod drzwiami dało się słyszeć jakieś słabe pukanie i jęk, tak jakby ktoś prosił, aby go wpuszczono do izby.

Jakób położył łyżkę na stole i mówi:

— Czy słyszysz Małgosiu?....

Żona słyszała także i rzecze na to:

— Toć słyszę, wyraźnie tak, jakby się ktoś prosił i jęczał pod drzwiami.

— Chyba pójdę otworzyć — mówi Jakób.

— Ej kto wie, co tam takiego, może jaki rabuś się zakrada i udaje pod drzwiami nędzarza. My tak daleko od wsi, toć i niebezpieczna lada komu otworzyć, bo choć to my nic nie mamy, ale zawsze zły człowiek na wszystko się złakomi.

— Ej nie gadałabyś Małgosiu — odpowie Jakób — ktoby tam wybierał się do nas biednych na rozbój. Wiesz co, może to jaki żebrak nieszczęśliwy, co marznie na dworze, albo może jaki podróżny biedny, a dziś święty wieczór, więc godzi się być litościwym dla każdego.

To mówiąc Jakób wstał z ławki, wyszedł do sieni i drzwi otworzył. Ale przed drzwiami nie było nikogo, jeno na ziemi coś się czerniło, i słychać było ciche jęczenie, jakby umierającego. Jakób zawołał na żonę, aby podała światło, a gdy Małgorzata przybiegła z łuczywem, zobaczyli przed progiem na ziemi jakiegoś młodego chłopaka. Leżał on tak jak bez życia i tylko jęknął czasem żałośnie.

— Na miłość Boga, ratujmy! — zawołał Jakób — wszak to jakiś biedny chłopak ginie!

I zaraz podniósł też owego chłopaka z śniegu i wniósł go do chałupy. Tu przypatrzyli się Jakób i Małgorzata dobrze biedakowi i poznali, że już był na pół zmarzły. Duchem przyniosła Małgorzata śniegu z dworu i zaczęła razem z mężem odcierać chudzinę — a gdy go tak dobrze natarli, biedny chłopak otworzył oczy i przyszedł do siebie. Jakób nakrył go zaraz swoim kożuchem, a Małgorzata zagrzała mu przy ogniu na prędce trochę piwa, co go sobie kupili na święta.

Gdy biedny chłopak napił się tej gorącej polewki i rozgrzał się trochę, przyszedł zaraz do siły i mówi:

— Gdzie jestem dobrzy ludzie?

— Nie bój się — mówi Jakób — i dziękuj jeno Bogu, że cię zachował od śmierci, bo byłbyś pewnikiem zamarzł na tym okrutnym mrozie.

Biedny chłopak jeno podniósł oczy w górę, westchnął — jakby dziękował Bogu i mówił:

— Toć ja dziękuję Panu Bogu i wam, boście wy mnie uratowali od śmierci! Niech wam to niebo stokrotnie zapłaci!

— A zkądżeś ty chłopaczku? — pyta się Małgorzata.

— Jestem biedny student — odpowiada chłopak — uczę się w mieście w szkołach. Mam rodziców bardzo ubogich i chciałem pójść do nich na święta, aby razem z niemi obchodzić dzień Narodzenia Bożego. Nie miałem za co nająć sobie furmanki, toć się też puściłem piechotą. Myślałem, że zajdę jak nic do domu, ale w drodze osłabłem i musiałem długo odpoczywać, a przez to spoźniłem się bardzo. Do domu miałem już tylko trzy mile, więc chciałem koniecznie jeszcze dziś do moich rodziców zajść, aby trafić na sam święty wieczór, ale noc ciemna zaskoczyła mnie w drodze, wiatr okrutnie sypał śniegiem, że i świata zobaczyć nie mogłem, zabłąkałem się, i już byłem pewny, że zamarznę gdzie w śniegu, kiedym zobaczył zdaleka światełko. Duch we mnie wstąpił i zawołałem: Dzieciątko Jezus, któreś przyszło na świat w ubogiej i nędznej szopce, ratuj mnie dzisiaj w dzień Narodzenia Twego! I zebrałem wszystkie siły, powlokłem się dalej, ale tu pod samemi drzwiami już mi nogi zdrewniały, i już nie wiem co się dalej ze mną stało.

Jakóbowi i jego żonie aż się łzy puściły z oczu na to opowiadanie.

— No chwała Bogu — rzekli — że ci nie dał zginąć. I my też wdzięczni jesteśmy Najwyższemu, że nam na święty wieczór przysłał gościa, którego my biedni poratować możemy.

Potem zaprosili biednego studenta do wieczerzy, ale on nic nawet do ust wziąć nie mógł, bo był bardzo chory od zimna. Jakóbowie zjedli wieczerzę, odśpiewali pobożną kolendę na chwałę Nowonarodzonego i okrywszy dobrze chorego studenta, założyli się do snu.

Na drugi dzień rano, gdy Jakób wstał, zobaczył, że student od wielkiego przemarznięcia ciężko zaniemógł. Leżał cały w gorączce i od wielkiego bolu głowy nawet i mówić nie mógł. Żal się zrobiło Jakóbowi i jego żonie ubogiego szkolarza, a Jakób duchem zaprzągł swego konia i pojechał do dworu, gdzie był właśnie na świętach doktor z miasta. Na prośbę Jakóba

doktor pojechał oglądnąć biednego studenta, dał mu jakieś lekarstwo i nakazał, aby o chorym mieć dobre staranie.

Przez dwa dni chorował ubogi szkolarz. Jakób i Małgorzata chodzili koło niego gdyby rodzeni ojciec i matka. Dali mu własne pierzyny i okrycia, a sami spali na twardej desce, usługiwali mu we wszystkiem jakby własnemu dziecięciu, a Małgorzata zarznęła ostatnią kurę, aby tylko biedakowi uwarzyć rosołu, tak jak nakazywał doktor.

Ale na trzeci dzień student już całkowicie przyszedł do zdrowia i z płaczem dziękował Jakóbowi za litościwe serce:

— Ja nic nie mam — mówił ze łzami — więc nie mogę wam tego odpłacić, ale Bóg wam to wynagrodzi, żeście mnie tak jak ojcowie przytulili do siebie w nieszczęściu. Będę się też modlił Panu Bogu za was serdecznie, a gdy za łaską Wszechmocnego wyuczę się na człowieka, to nie zapomnę o was moi mili.

I ucałowawszy w rękę Jakóba i Małgorzatę, wybrał się w drogę, a poczciwy Jakób widząc, że student jeszcze trochę osłabiony, zaprzągł swoją szkapinę do wózka i podwiózł go całą milę ode wsi.

I nikt nie wiedział o tym pięknym uczynku Jakóba i jego żony, tylko oni sami i Pan Bóg, który widzi wszystkie cnoty i pamięta o bogobojnych ludziach — a każdy czyn piękny nagradza sowicie łaską swoją najświętszą!...

* *
*

Dużo, bardzo dużo lat minęło od tego czasu. Jakób postarzał się już okrutnie; a żona jego Małgorzata także przygięła się od starości. Do nędznej chatki przyszła bieda i niedostatek. Staruszkowie już nie mogli sobie zarobić na kawałek chleba, jak to za młodszych lat robili. Brakło im tedy kawałka chleba, a nieraz to i głód całemi dniami cierpieć musieli. Nie mieli ani krewnych ani dobrodziejów, i chyba tylko kostur i torba żebracza czekała ich na resztę dni ich życia.

Gorżka dola dotknęła poczciwego Jakóba i Małgorzatę, ale oni przez to nie odstąpili ani na chwilkę od ufności w miłosierdzie Boże.... Ale nareszcie przyszła nędza ostatnia na

tych biednych ludzi. Chatka ich stara poczęła się walić, dach się obdarł i zapadł, wiatr wiał przez szerokie szpary od ścian. Przyszła twarda zima; w domu nie było ani chleba ani drew na ogrzanie izbiny, Jakób i Małgorzata zaniemogli od zimna i głodu. Po Nowym roku mieli zapłacić dług. Ale zapłacić nie mieli z czego, więc też lada dzień mieli ich wyrzucić z nędznej chatki za dłużne pieniądze.....

Tak się działo u biednych poczciwych Jakóbów, gdy znowu nadeszły święta Bożego Narodzenia.

I znowu był święty wieczór!.....

Wszyscy ludzie radowali się z narodzenia Jezusowego, śpiewali wesołe kolendy i spożywali wieczerzę na wilję. U Jakóba w chacie ledwie kilka drewienek paliło się na kominku, a na wilję nie mieli nic, jak tylko kawałek suchego chleba.

Smutna była wilja u Jakóba. Wiatr huczał na dworze i wiał przez szpary do izby; oboje staruszkowie trzęśli się od zimna i płakali rzewnemi łzami.

Kiedy tak Jakób i Małgorzata siedzą z ciężkim smutkiem w sercu, zastukał ktoś do drzwi po cichu.

— Ktoś puka — rzekła Małgorzata.

— Ej jeno ci się tak zdaje — odpowiedział Jakób — to wiatr tak kłapie drzwiami.

Ale pukanie nie ustawało, lecz coraz głośniej odzywało się ze dworu. Stary Jakób zachodząc w głowę, ktoby to był taki, zwlókł się z ławy i wyszedł otworzyć. Jakież było jego zdziwienie, gdy przed swoją chatką ujrzał porządne duże sanie z jasnemi latarniami, a przed drzwiami czekał jakiś pan odziany we futrze.

— Niechże będzie pochwalony Jezus narodzony! — odezwał się nieznajomy człowiek.

— Na wieki wieków! — odpowie Jakób nabożnie.

— Czy przyjmiecie nas w gościnę na święty wieczór?

— Oj wielmożny panie, czemuż nie!.... Ale cóż wy w naszej chacinie robić będziecie?... Nie ma w izbie ani ognia ani nawet kawałka chleba. Do wsi kawałek niedaleki, tam wygodniejszy znajdziecie nocleg.

— Kochany staruszku — rzecze na to nieznajomy — my już tu u was koniecznie chcemy odbyć święty wieczór.

Jakób zdziwiony zaprosił gości do izby.

— Dobry wieczór pani matko! — powitał nieznajomy człowiek Małgorzatę i zrzucił z siebie futro.

I pokazało się teraz, że to był ksiądz. Popatrzył on na Jakóba i Małgorzatę i na kawałek suchego chleba, co leżał na stole i otarł sobie oczy, tak jakby płacz ukrywał.

— Usiądźcie-że sobie mili staruszkowie i posłuchajcie, bo się was rozpytać muszę — odzywa się ksiądz — czy pamiętacie wy, jak to przed dwudziestu laty przyjęliście do chaty waszej biednego studenta, co już był na pół zamarzł na zimnie?.....

— A pamiętam — odpowiada Jakób — było to właśnie w ten dzień co dziś, na sam święty wieczór, w wilję Narodzenia Pańskiego.

— Ten student potem u was zachorował — mówi dalej ksiądz — a wy go poczciwi ludzie pilnowali jakby ojciec i matka aż dopóki nie wyzdrowiał....

— Ot wyraźnie spełniliśmy, co Bóg przykazał — odpowiedziała Małgorzata.

— Otoż moi zacni staruszkowie — rzecze na to ksiądz — tym biednym studentem to ja byłem!

Jakób i Małgorzata zdziwili się okrutnie i nie chcieli swym oczom wierzyć, a ksiądz ów powstawszy z ławki ucałował im z synowską pokorą ręce. Jakób nie chciał dać ręki do ucałowania i mówił:

— Ale proszę jegomości — co też ksiądz dobrodziej robi.

— Dajcie mi ucałować wasze ręce — rzecze ksiądz — bo wyście byli dla mnie drugim ojcem i matką. Kiedym się przed dwudziestu laty żegnał z wami, przyrzekłem modlić się za was i pamiętać o was. Modliłem się też i pamięć waszą zachowałem zawsze w sercu. Dziś nie mam nikogo na świecie, bo mi rodzice już dawno pomarli — wy więc jesteście moim ojcem i matką. Uważajcie mnie za swojego syna!

Staruszkowie popłakali się na te słowa, a ksiądz mówił dalej:

— Zostałem w tej wsi u was proboszczem na miejsce waszego księdza, co niedawno umarł. Biorę więc was do siebie, kochani staruszkowie!

A potem tak się jeszcze odezwał:

— Dzisiejszą wilję Pańskiego Narodzenia tu z wami obchodzić będę. Niech to będzie na pamiątkę tego świętego wieczora, kiedyście mnie zmarzłego i nędznego przyjęli w domek wasz ubogi.

I zawołał zaraz na służącego i furmana, a ci poznosili z sań rozmaite jadła i dobrego wina, zastawili stół i pozapalali mnóstwo świec, że w izbinie Jakóba zrobiło się jasno jak w dzień Boży. Ksiądz wydobył opłatka i podzieliwszy się z nimi, zaprosił ich do wieczerzy.

I tak wśród radości spędzili święty wieczór, chwaląc Ojca Wszechmogącego.

Taka to była historja Jakóbów i biednego studenta. Ksiądz urządziwszy się w Mrawie na parafji, wziął staruszków do siebie i starał się o nich z wdzięcznością i synowskiem przywiązaniem, jak o własnych rodziców. A gdy poumierali, sprawił im piękny pogrzeb i postawił na cmentarzu w Mrawie nagrobek z pięknym napisem, który do dziś dnia tam widzieć można.

Kuba z Kobła.

Opowiadania pana Wincentego
o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

III.

Trzeciego wieczora, kiedy czeladź cała zgromadziła się znowu na wieczerzę, pan Wincenty zaczął tak prawić dalej:

— Obiecałem wam wczoraj, że wam opowiem o morskich zwierzętach. A więc zacznę od wieloryba.

— Aha — zawołał na to Stefko kredensarz — widziałem ja wieloryba odmalowanego i już dawno rad byłem wiedzieć, co też to za potwór taki.

— Wieloryb, moi kochani — opowiadał Wincenty — jest to, jak już z samej nazwy się domiarkujecie, ogromnie wielka

ryba morska. Ma on dziesięć a czasem i więcej sążni długości i niezmierną siłę, osobliwie w ogonie, którym kiedy jest w niebezpieczeństwie, bije na wszystkie strony. Potwór ten ogromny ma tak wielką paszczę, że zmieściłoby się w niej duże czółno wraz z wioślarzami. Wieloryb przebywa najczęściej w morzu północnem. Co to za okrutna jest ryba, już z tego możecie poznać, że waży tyle co dwieście tucznych wołów. Otóż na tego wieloryba odbywają ludzie polowania. Płyną na okrętach w te miejsca morskie, kędy on przebywa, a gdy go przydybią, wtenczas go zabijają.

— A jakże się to polowanie robi — zapytał Jędrek fornal — toż to musi być straszno polować na taką okrutną bestję.

— Oczywiście, że to nie łatwa rzecz i nie bardzo bezpieczna — prawi pan Wincenty — ale człowiek na wszystko znajdzie radę. Skoro ci myśliwcy morscy napotkają wieloryba, zaraz podjeżdża do niego czółno, a jeden z ludzi ciska nań harpunę. Ta harpuna to jest takie ostre zębate żelazo, uwiązane na długim i grubym sznurze. Jeden z myśliwców, co już jest silny i wprawny do tego, ciska niem w wieloryba, tak iż to ostre żelazo wbije mu się w cielsko. Wieloryb ugodzony tem żelazem, zaczyna uciekać i bije okrutnie ogonem na wszystkie strony, a z taką wielką siłą, że gdyby trafił w łódkę, toby ją strzaskał na drobne kawałeczki. Gdy już w wielorybie tkwi to ostre żelazo jak hak, wtedy inne czółna podjeżdżają do niego, a myśliwi kłują go długiemi ostremi pikami, dopóki go nie ubiją. Nie trzeba wam mówić, że nim taką straszną bestję zabiją na śmierć, dużo czasu i mozołu potrzeba, a nie raz wieloryb plusnąwszy ogonem po łodzi, zatapia ludzi i w kawałki gruchocze czółna. Kiedy wieloryb jest już zabity, wtedy ciągną go za sobą czółna po wodzie aż do okrętu i dźwigają go tam sznurami. Gdy go już mają na okręcie, wtedy płatają go na sztuki i zdzierają z niego sadło. Wieloryb ma tego sadła nieraz dwa tysiące cetnarów. Sadło to przetapiają i z niego to robi się tran, któty sprzedają po sklepach do rozmaitych smarowideł. Wieloryb ma około swej paszczy mnóstwo rogowych płatów, któremi jak siecią zagarnia ryby, a z tych płatów robi się rybi róg, co go nieraz także fiszbajnem

z niemiecka zowią. Z tego fiszbajnu robią się laski, oprawki do nożów i inne rzeczy. Wieloryb ma tego rogu koło paszczy tak dużo, że będzie z niego nieraz trzydzieści cetnarów tego fiszbajnu.

— A to straszne rzeczy, co to za okrutne dziwo ten wieloryb! — zawołała biorąc się za głowę klucznica Teresa.

— Oj co dziwo, to dziwo, ale są na morzu i straszniejsze. Wieloryb wprawdzie okrutnie jest duży, ale dla ludzi nie jest on tak niebezpieczny jak inne potwory morskie. Wieloryb, jak już wam powiedziałem, ma okropnie wielką paszczę, ale za to ma bardzo ciasne gardło, tak, że tylko małe ryby połyka. Ale jest w morzu jedna strasznie wielka i żarłoczna ryba, co się zwie haja albo wilk morski. Ta haja gdy napotka jakiego człowieka w morzu, to go połknie całego lub przeżre do połowy. Haja płynie za okrętami, a gdy ktoś na okręcie umrze i rzucą go do wody, to natychmiast pożera trupa. Nieraz też gdy człowiek który spadnie z okrętu albo z czółna do wody, haja rzuca się na niego i wtenczas przepadł na wieki.

Tu odpoczął trochę pan Wincenty i rozglądał się po czeladzi, która z wielką ciekawością go słuchała, a potem mówił dalej:

— Są w morzu rozmaite bestje i potwory. Jest tego takie mnóstwo, że i policzyćby nie można. A są tam też małe i duże zwierzęta, takie dziwne nieraz, żeby człek i nie uwierzył, gdyby ich na własne oczy nie widział. Bo też niektóre wyglądają gdyby okrutnie wielkie gwiazdy, inne znowu jak jeże z długiemi kolcami, a znowu inne mają mnóstwo nóg, co tak wyglądają jak węże i na wszystkie strony się wiją. Są tam także takie stworzenia, co są na pół rybą, na pół zwierzem, jak na przykład psy i cielęta morskie, a te wychodzą czasem i na brzegi, a ludzie na nie także polują. Jest także w morzu taki gatunek dziwnej ryby, co ma na łbie ogromnie długi róg, poszczerbiony gdyby piła. Od samej góry aż do dna jest pełno w morzu takich rozmaitych dziwnych potworów i zwierząt morskich.

— A co też jest na samem dnie morza — pyta Stefko kredensarz — czy tylko sam piasek?

— Na dnie morskiem — opowiadał dalej Wincenty — rośnie mnóstwo rozmaitych roślin i żyje mnóstwo zwierząt i robaków, że ich różnych gatunków ani nawet policzyć by nie można. Osobliwie dużo jest bardzo pod morzem takich zwierzątek, co się kryją w skorupy jak ślimaki. Te skorupy są czasem prześliczne i rozmaicie ubarwione, niektóre z nich złociste, niektóre zaś jakby tęcza połyskują. Ale najbardziej rozbijają się ludzie za temi zwierzątkami, w których perły się znajdują. Musicie bowiem wiedzieć, boście o tem już i w *Dzwonku* czytali, że perły znajdują się w skorupkach zwierzątek morskich. Otoż te zwierzątka łowią ludzie, co się umyślnie dla tego okrętami na morze puszczają.

— A jakże tam oni na dno się dostaną? — zapytała Katarzyna klucznica.

— Do tego — mówi Wincenty — są osobni ludzie — co się zwą nurkami. Ci nurkowie są to tacy ludzie, którzy są już nauczeni i wzwyczajeni spuszczać się głęboko do wody i tam przez dobrą chwilę wytrzymać. Zaprawiają się oni do tego już z młodości i później zarabiają sobie tem na życie. Przy zbieraniu skorupiaków z perłami podjeżdżają ludzie na czółnach na te miejsca, gdzie są podmorskie skały, na których znajdują się te zwierzątka w skorupach, a nurkowie spuszczają się wtedy pod wodę. Każdy nurek przywiązany jest sznurem do czółna, a przy sznurze tym znajduje się jeszcze i kamień, aby tym sposobem nurek prędzej poszedł pod wodę. Nurek, gdy się ma spuścić na dno morskie, zatyka sobie nos i usta bawełną albo woskiem, zaciąga się powietrzem i wtyka do gęby gąbkę umaczaną w oliwie. Potem rzuca się do wody pod te skały, gdzie się znajdują perły i nieraz musi pójść pod wodę na ośm albo i dziesięć sążni. Pod wodą zbiera on prędziutko owe skorupiaste zwierzątka do kosza, który ma uwiązany przy pasie, a gdy już czuje, że dłużejby pod wodą nie wytrzymał, to na znak potrząsa tym sznurem, którym jest do czółna przywiązany, a ludzie wyciągają go prędko na górę.

— Oj to takiemu nurkowi musi być straszno pod wodą —

odzywa się Grześ kuchta — a czy mu tam kiedy co nie zrobi jaki potwór morski?

— Nieraz już nie wyjdzie na górę — odpowiada pan Wincenty — bo go nieraz przydybie haja, ta ryba żarłoczna, o której wam opowiadałem, i pożre go całego lub nogę i ręce poodgryza. Na sto majtków w roku zjedzą trzech te ryby, a piętnastu mocno pokaleczą.

— A czy długo wytrzyma taki nurek pod wodą? — zapytał lokaj Łukasz.

— Dłużej nad parę chwil nie może on być pod wodą — prawi pan Wincenty — bo żaden człowiek, choćby już i jak do tego przyzwyczajony, nie potrafi długo wytrzymać bez powietrza. Ale za to są nurkowie bardzo silni i okrutnie zwinni, tak że przez ten krótki czas, co są pod wodą, uzbierają do kosza nieraz sto pięćdziesiąt a czasem i dwieście sztuk tych skorupiaków, w których perły się znajdują. Ale nie tylko pereł ludzie szukają w morzu. Wydobywają oni także korale z dna morskiego.

— Jak to i korale panie Wincenty — pochodzą z morza? — pyta się Teresa klucznica.

— A jużci, że nizkąd inąd — odpowiada Wincenty — a i te korale, co je macie na szyji leżały sobie kiedyś tam głęboko pod morzem!

— I czy one od razu takie piękne i czerwone leżą na dnie morskiem? — pyta dalej Teresa.

— Oj nie, korale rosną, moja Tereso!

— A jakże to być może, przecież korale to takie gdyby kamyczki a nie żadna trawa albo drzewka, coby mogły rosnąć — mówi zdziwiona Teresa.

— Oj właśnie że korale to są takie małe drzewka, co rosną pod morzem. Dziwne to bardzo te korale. Bo to drzewko, nie drzewko, kamień nie kamień, robak nie robak!

— A toć to cudo jakieś! — zawołała Teresa.

— Nie ma co mówić, że to dziwne bardzo. Musicie wiedzieć, że roślina koralowa wygląda jak krzak, jeno że cały ten krzak i jego gałązki są gdyby kamienne, a zamiast liścia to mają takie miękkie wyrostki, które się ruszają i żyją. Otóż

te małe żyjątka na krzaku koralowem obciągają się powoli skorupą czerwoną i te czerwone skorupy to są właśnie korale. Tak jak po perły tak i po korale spuszczają się na dno morskie nurkowie i narywają tych krzaków do torby siatkowej, a potem wybierają z nich ludzie korale. Ale nim koral przyjdzie na taki sznurek jak wasz, Tereso, to go jeszcze różni majstrowie czyszczą, szlufują i przerabiają. Takie to rozmaite dziwne rośliny i zwierzęta znajdują się na dnie morskiem. Bo też jak wam już wspomniałem, dno morskie, to nie takie nagie albo kamieniste, jak w rzekach. Rośnie tam mnóstwo roślin najrozmaitszych, jakieś dziwne trawy i krzaki, a nieraz to rośliny te są takie wysokie, że i najwyższe drzewa nasze nic naprzeciw nich nie znaczą. Rośnie też na dnie morza także i gąbka, którąście przecież widzieli już nieraz i nie sto razy. I po te gąbki, których używają ludzie do mycia i innych rzeczy, spuszczają się ludzie na dno morskie, rwą do koszów, a potem przemywają, czyszczą i suszą. Są też na morzu takie rośliny, które pływają po wierzchu, a rosną na wodzie i zwą się dlatego wodorosty. Te wodorosty nieraz przez duże kawały morza się ciągną, a są miejscami tak gęste i poplątane, że okręta nie mogą przepłynąć, bo je te wodorosty swemi gałęziami zatrzymują. Ale dość już opowiadania na dzisiaj. Pożniej kiedy, to może wam znowu co o morzu opowiem, bom o niejednej rzeczy zapomniał. Dobranoc!

— Dobranoc! A ślicznie też dziękujemy, panie Wincenty, za tę ciekawą gawędę o morzu! — zawołali wszyscy i rozeszli się z izby.

Wojtek ze Smolnicy.

☛ *Winszujemy Wam, mili bracia, z całego serca wesołych świąt i prosimy, abyście też przy opłatku nie zapomnieli i o Dzwonku, który już siódmy rok jest waszym dobrym przyjacielem. Nie namyślajcież się też długo, jeno przysyłajcie rychło* **jeden reński na pół roku — lub dwa reńskie na cały rok** — *a my tu już nie pożałujemy pracy, aby Wam piękne historje i ciekawe różności w Dzwonku drukować. Razem z dzisiejszym numerem posyłamy Wam różową okładzinkę i spis tego wszystkiego, co w tym tomie było drukowane.*

Panu Bogu Was oddajemy kochani bracia!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.